

Maciej Wąs: Chesterton a ewolucja, czyli wiele hałasu o nic

Chesterton przejawiał w stosunku do teorii ewolucji stosunek złożony, daleki od prostego potępienia, którego podstawową oś stanowi pewne proste rozróżnienie, mianowicie: między tym, czym teoria ewolucji naprawdę jest, a tym, czym nie jest, choć wielu ludzi usilnie chciałoby, aby była – pisze Maciej Wąs w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Scheda po Darwinie”.

O Chestertonie, jak wszyscy wiedzą, wiele wiadomo. W kontekście, który nas interesuje, czyli stosunku Chestertona do teorii ewolucji, owa mistyczna „wiedza powszechna” wydaje się przedstawiać jak następuje: jeśli chodzi o naukę, Chesterton był kompletnym ignorantem. Nie cierpiał formalnej edukacji, więc nie pozwolił jej wyrzucić na swoją umysłowość zbyt dużego wpływu. Miał może trochę przygotowania z historii literatury, a także bystrą inteligencję i poetycki zmysł, co zsumowane pozwalało mu czasem trafnie zgadywać, ale wiedzy rzetelnej, przedmiotowej, z tego zakresu nie miał żadnej, w związku z czym pozostawał sporo za swoimi czasami, szczególnie za tym, co do rozwoju kultury angielskiej wniósł postęp naukowy, a jego wrogiem numer jeden była, oczywiście, właśnie darwinowska teoria ewolucji, którą zwalczał zaciekle, na kształt dwudziestowiecznego Gladstone’a broniąc desperacko starego, chrześcijańskiego obrazu świata, odchodzącego w cień wobec nowych odkryć biologii.

To musi być prawda. Poświadcza ją przecież swoim autorytetem sam profesor Martin Gardner, który choć włączył do swojej wydanej w 1957 roku antologii *Great Essays on Science* rozdział „The Ethics of Elfland” z Gilbertowej *Ortodoksji*, natychmiast zaasekurował się, że choć wśród autorów figuruje, to Chesterton o nauce wiele nie wiedział, o czym świadczy jego chroniczna niezdolność do zaakceptowania faktu, że człowiek pochodzi od zwierząt. A jednak, w tym kontekście tym bardziej dobitnie okazuje się, że jednak nikt ani nic nie musi niczego (anarchia rządzi), bo diagnoza profesora Gardnera (by oddać mu sprawiedliwość, oparta na interpretacjach wczesnych „chestertonologów”, np. Masie Ward) to po prostu kula w płot. Prawda (taka prawdziwa) jest bowiem taka, że Chesterton miał z zakresu nauk ścisłych wiedzę bardzo dużą, oczywiście jak na człowieka, który nie zajmował się sprawą zawodowo. Znał ich historię i najważniejsze dokonania. Wiedział, oczywiście mniej więcej, co działo się w jego czasach w dziedzinie fizyki – i pamiętał, o czym niekiedy z przekąsem wspominał, co działo się w niej w epoce wiktoriańskiej, a o czym żaden piewca idei „stałego postępu naukowego” dziwnym trafem w debacie publicznej wtedy nie wspominał.

Dobre przygotowanie merytoryczne połączone z naturalną inteligencją i zmysłem filozoficznym zaowocowało smakowitą inteligibilną mieszanką, ze względu na którą Stanley Jaki, ksiądz katolicki i trafem także profesor fizyki, nie wahał się nazwać Chestertona *The Seer of Science*, tak bowiem zatytułował swoją wydaną w 1986 książkę na temat. *Seer* – dosłownie „widzący”, wieszcz, prorok. I nie dziw to zapewne, że jako „widzący, wieszcz, prorok”, Chesterton przejawiał w stosunku do teorii ewolucji stosunek złożony, daleki od prostego

potępienia, którego podstawową oś stanowi pewne proste rozróżnienie, mianowicie: między tym, czym teoria ewolucji naprawdę jest, a tym, czym nie jest, choć wielu ludzi usilnie chciałoby, aby była.

Chesterton nazywał się w kwestii ewolucji po prostu „agnostykiem” – stwierdzał, że jako publicysta i krytyk literacki po prostu nie wie, czy ewolucja dokonuje się czy nie, zostawiając rozstrzygnięcie sprawy ludziom kompetentnym

Czym zatem jest teoria ewolucji sama w sobie? Po prostu: teorią naukową; „całkiem niewinną”, do tego, „teorią, wyjaśniającą, jak jedna rzecz zamienia się powolutku w drugą rzecz, teorią kompletnie niegroźną nawet dla najbardziej

ortodoksyjnych chrześcijan” (*Orthodoxy*). Oczywiście, należy poczynić tu pewne zastrzeżenia, ponieważ jako teoria ma ona, po pierwsze, swoje wady (Chesterton znał zresztą krytykę, jakiej poddał ustalenia Darwina biolog francuski Louis Vialleton, również zresztą ewolucjonista), więc nie należy jej przyjmować dogmatycznie; po drugie, ponieważ nie trzeba jej w ogóle przyjmować, jeśli ktoś ma taką wolę (o słuszność w tym momencie nie pytamy, chodzi o wolność debaty); po trzecie, ponieważ aby ją odpowiedzialnie przyjąć lub odrzucić należy mieć dużą wiedzę, większą, niż większość ludzi, którzy nie zajmują się tematem naukowo lub choćby pół-naukowo. Dlatego też Chesterton, gdy przychodziło co do czego, zazwyczaj nazywał się w tej kwestii po prostu „agnostykiem” – stwierdzał, że on, jako on, tj. jako publicysta polityczny i krytyk literacki po prostu nie wie, czy ewolucja dokonuje się czy nie, zostawiając rozstrzygnięcie sprawy ludziom

kompetentnym, naukowcom, co też uczynił choćby w osławionej w tym kontekście książce *The Everlasting Man*, w której stwierdza jasno: „Nigdy nie było moją intencją polemizować z naukowcami i poważną pracą naukową”. Natomiast chodzi o to, żeby pamiętać o tym podstawowym fakcie: spór o ewolucję nie jest, wbrew temu, co się powszechnie utrzymuje, sporem religijnym czy światopoglądowym. Jest to spór wewnątrz naukowy, który – choć ciekawy – nie musi przysparzać nikomu bezsennych nocy.

Ustalenia Chestertona są zresztą w tym punkcie zgodne choćby z ustaleniami Étienne’a Gilsona, który w swojej niezwykle ciekawej pracy *From Aristotle to Darwin and Back Again* (1971) stwierdza, że Darwin to tego stopnia dbał o utrzymanie ściśle przyrodowczonego charakteru swoich badań, że świadomie nie używał (poza jednym przypadkowym wyjątkiem) do ich opisu słowa „ewolucja”, żeby nie skojarzyły się one nikomu filozoficznie (z Herbertem Spencerem, konkretnie) i nie służyły do wyciągania zbyt daleko idących wniosków. Chesterton, nawiasem mówiąc, zdawał sobie z tego sprawę znakomicie i gdy pisał o swym „agnostycyzmie” w kwestii ewolucji, zawsze przywoływał jedno nazwisko: oczywiście „Darwin” – wyraźnie sugerując, na czym polega problem współczesnych mu (pseudo-)ewolucjonistów.

Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny: tej, że teoria ewolucji, jako teoria naukowa (skoro już stosujemy pożałowania godną nomenklaturę współczesną), nie jest teorią filozoficzną czy religijną. Niby prosta to obserwacja, a jednak niepokojąco nieoczywista. Już od połowy XIX wieku, odkąd tylko Darwin opublikował wyniki swoich badań, nie brakowało takich, którzy zaczęli upatrywać w nich ostatecznego wyjaśnienia wszechświata w jego najwyższych zasadach i przyczynach.

*Już od połowy XIX wieku,
odkąd tylko Darwin
opublikował wyniki swoich
badań, nie brakowało takich,
którzy zaczęli upatrywać w
nich ostatecznego wyjaśnienia
wszechświata w jego
najwyższych zasadach i
przyczynach*

Klucza do
zrozumienia
wszystkich zjawisk
społecznych czy
kulturowych.
Wreszcie nawet
ostatecznego
wyjaśnienia
egzystencji ludzkiej
w perspektywie
Absolutu,
sprowadzonego do
cokolwiek mętnie
definiowanej

„Natury”, i więcej – dającej tej egzystencji nawet jakiś rodzaj, pojętego czysto psychologicznie, ale quasi-realnego kontaktu z tym Absolutem, a zatem jakiegoś surogatu wiary, który przyjmuje się z takim samym jak wiarę zaangażowaniem egzystencjalnym, i w imię którego tworzy się kulturę i pisze wyjaśniające życie mity. To wszystko prawda, i to przeciwko takim ludziom napisany został *The Everlasting Man*, ale przecież fakt ten nie podważa, a wręcz przeciwnie – jeśli, to raczej potwierdza tezę wyjściową. To Thomas Huxley, słynny „buldog Darwina”, pierwszy połączył teorię doboru naturalnego z filozoficzną koncepcją ewolucji, zapożyczoną od Spencera. To Herbert Wells napisał *Krótką historię świata*, sporo miejsca poświęcając pseudo-darwinistycznym dywagacjom na temat prymitywnych małpoludów, rzekomo pierwszych twórców cywilizacji, i to on wyciągnął z tego wnioski jakoby to przemoc stanowiła, przynajmniej genetycznie, podstawę społeczeństw. Chesterton nie zostawia na takich postawach suchej nitki. Niemniej jednak wszystko to zrobili ci inni, oni, a nie Darwin. I tak zatem zawsze wracamy do tego, co się powiedziało:

„problemem” z teorią ewolucji jest to, co teorią ewolucji nie jest. Jest to problem pozorny, który naprawdę nie powinien przesadnie emocjonować wykształconego człowieka.

No dobrze, zapytajmy jednak, ale czy naprawdę z teorią ewolucji nie ma problemów realnych, istotnych, takich, które jednak powinno się intelektualnie rozwiązywać? Są, faktycznie, z samego faktu, że teoria ewolucji jest teorią naukową, w sensie, że przyrodoznawczą, naturalnie więc wiąże się z pewnymi ograniczeniami i Chesterton dostarcza nam charakterystyki tych ograniczeń. Pierwsze, na które Gilbert zwraca uwagę w *The Everlasting Man*, jest takie, że teoria ewolucji nie odpowiada na podstawowe dla siebie pytanie, to znaczy: nie definiuje, czym jest gatunek i co sprawia, że jest akurat tym, czym jest, tzn. co stanowi jego „różnicę specyficzną” i skąd się ta różnica bierze. Po prostu: teoria ewolucji nie wyjaśnia nawet, dlaczego człowiek jest człowiekiem. A człowiek jest człowiekiem, pisze Chesterton, dlatego, że gdzie się nie pojawi, towarzyszą mu zawsze znaki „tego, co nazywamy rozumem i tego, co nazywamy wolą”. A skąd w człowieku rozum i wola – i co to przede wszystkim jest rozum i wola? Czy w ogóle coś? Jak możemy to stwierdzić? I jeśli tak, w jaki sposób coś, co rozumu nie ma mogło przetransformować się z czasem w coś, co rozum ma? Teoria ewolucji potrzebuje zatem uzupełnienia w postaci filozofii przyrody, której sama nie proponuje, ale którą w pewien sposób suponuje, o czym świadczy nawet używany przez nią aparat pojęciowy i intelektualny (czyli która jest dla niej, by użyć tu terminologii wybitnego tomisty francuskiego Jacques’a Maritaina, wespół z rzeczywistością przez nią odkrywaną pewnym „X”, „na” którym prowadzi się obserwacje).

Podstawowe pytanie nie brzmi bowiem: dlaczego rzeczy są tym, czym są, ale dlaczego w ogóle są – a tutaj nauka jest już kompletnie bezradna

Drugie ograniczenie zaś, o którym Gilbert wspomina w Św. Tomaszu z Akwinu, jest jeszcze poważniejsze i dotyka znacznie głębszych wymiarów

rzeczywistości: podstawowe pytanie nie brzmi bowiem dlaczego rzeczy są tym, czym są, ale dlaczego w ogóle są – a tutaj nauka jest już kompletnie bezradna. Dlaczego jest raczej coś, niż nic? I co to w ogóle znaczy „być”? I w jakim sensie ewoluowanie to „być”, a w jakim „nie-być”? A pytanie jest niebagatelne, także dla dobrego rozumienia samego przedmiotu, o którym mówimy. Jak czytamy w tym-że Tomaszu: „Kosmos ledwie ewoluuje, tylko Bóg stwarza”. Teoria ewolucji więc, prócz uzupełnienia z zakresu filozofii przyrody, potrzebuje również „uzupełnienia” (jeśli tak można powiedzieć) metafizycznego, musi zostać w pewien sposób „podpołożona” wobec rzetelnej teorii bytu, odpowiadającej już na zupełnie inne pytanie i wznoszącej umysł ludzki na szczyty jego możliwości. Ale przecież i te dwa „problemy”, niebędące w istocie problemami, nie oznaczają, że teoria ewolucji jest w jakikolwiek sposób z chrześcijaństwem „sprzeczna”; a tylko, że filozofowie chrześcijańscy mają pełne pole do opisu.

No dobrze, ale skoro jest tak pięknie i realnie ewolucja nie przedstawia dla wiary żadnych problemów, to dlaczego tak wielu chrześcijan miało i wciąż ma opory wobec jej przyjęcia? A przecież nie mówimy tylko o amerykańskich fundamentalistach, którzy czytają Genesis dosłownie, ale nawet o ludziach bardzo inteligentnych, którzy też nie chcą wprost

zaakceptować ustaleń nauk biologicznych, również jak gdyby przynajmniej z podejrzenia, że są one sprzeczne z Objawieniem? Z drugiej strony, ci chrześcijanie, którzy ewolucjonizm w biologii przyjmują, faktycznie nader często zaczynają negować te lub inne elementy chrześcijańskiej doktryny czy antropologii. Jeśli nie bierze się to z powodów realnych, to skąd?

No cóż; oczywiście, że bierze się to z powodów realnych – ale nie obiektywnych, a subiektywnych; tzn. z problemów samych wierzących. Przyczyn może być tutaj rzecz jasna ogromna mnogość, ale wszystkie prowadzą się chyba ostatecznie do niezdolności porzucenia myślenia mitycznego. Ludzkość weszła historycznie na etap, na którym myślenie mityczne, „myślenie wyobraźnią”, nie daje się utrzymać w żadnej właściwie dziedzinie życia; człowiek dopomina się uznania w nim osoby, a więc i dopomina się rozumowi, prawdziwej inteligibilności, która nie może przecież spełniać się w obrazach, czy symbolicznych opowieściach. I tak niemal w każdej dziedzinie życia (może poza tymi dziedzinami nauki, które z mitów – mitów ujętych po Platońsku jako „wyobrażeniowe aproksymacje prawdy” – korzystają ze względu na szczególny charakter swojego przedmiotu) z myślenia mitycznego się dzisiaj wychodzi. A w dziedzinie religii nie. Nie da się ukryć, że to nawet poniekąd zrozumiało, przynajmniej z perspektywy ludzkiej słabości, która zawsze będzie pragnąć oparcia w czymś zmysłowym, łatwo uchwytnym, i zawsze będzie stronić od czystego światła intelektu, które dzielimy z aniołami, niemniej nie zmienia to faktu, że podobna niedojrzałość ma fatalne skutki.

Ostatecznie bowiem nie przezwyciężywszy pokusy zmysłowego „snu” (nieprzypadkowo nazywał Maritain epokę myślenia mitycznego „czasem nocnym” ludzkości) nikt nie zrozumie co to naprawdę znaczy

Bóg, co to znaczy dusza, czym jest byt – i nikt nie zrozumie rzeczywistej treści chrześcijańskiej nauki o stworzeniu. Na szczęście, w wypadku Chestertona o podobnym nieporozumieniu nie może być mowy i w jego wypadku przynajmniej „spór o ewolucję” okazuje się tym, czym jest naprawdę – wielkim hałasem o nic, szczególnie tym hałasem, z którym, jak czytamy w *Św. Tomaszu*, starły się w czasach wiktoriańskich dwie niecierpliwe i nadęte formy ignorancji, których to wojnę historycy opisali później jako „Spór Nauki z Religią”. Chesterton był wielkim intelektualistą i erudytą, niemniej trudno przypuszczać, by przeczytał Maritainowskie *Stopnie poznania*, z ich systematycznym rozróżnieniem na nauki ontologiczne i empirologiczne, na trzy stopnie abstrakcji, na metodę empirometryczną i empiroschematyczną, i tak dalej (choć mógł, bo wyszły w 1932), pozostaje więc przyjąć, że do pewnych rzeczy doszedł po prostu na zdrowy rozsądek. A że zdrowy rozsądek jest jednak, w pewnym sensie przynajmniej, własnością wspólną ludzkości, można mieć nadzieję, że inni również będą mogli, korzystając z jego dobrodziejstw, do pewnych rzeczy dojść, szczególnie z tak potężną pomocą. I trwająca od XIX wieku perpetuacja głupoty szczęśliwie dobiegnie końca.

Maciej Wąs